

A close-up, high-angle shot of a man with a beard and mustache, wearing a dark green military beret and black sunglasses. He is looking slightly to the right. He is wearing a dark, heavy coat. In his right hand, he holds a black handgun, which is pointed upwards. The background is a plain, light-colored wall.

**ANDREW
KAPLAN**

ZNAKOMITY THRILLER POLITYCZNY

**Zdrada
Skorpiona**

DAVIDOS
sensacja

**ANDREW
KAPLAN**

Zdrada Skorpiona

Przekład z języka angielskiego
Teresa Tyszowiecka

DAMIDOS
sensacja

Tytuł oryginału:
Scorpion Betrayal

Projekt okładki:
Marek J. Piwko {mjp}

Redakcja:
Anna Sakiewicz

Zdjęcia na okładce:
© *dennisjim/iStockphoto*

Redakcja techniczna, skład i łamanie:
Grzegorz Bociek

Korekta:
Urszula Bańcerk

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Odniesienia do realnych osób, wydarzeń, instytucji politycznych, organizacji i miejsc służą wyłącznie podniesieniu autentyczności akcji i są zabiegiem czysto literackim. Poza tym akcja książki, jej bohaterowie i dialogi są wytworem wyobraźni autora i nie należy ich traktować dosłownie.

DAMIDOS

WYDAWNICTWO

Wydawnictwo Damidos
Al. Solidarności 115 lok. 2
00-140 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@damidos.com

Dystrybucja:
TROY-DYSTRYBUCJA Sp. z o. o.
Al. Solidarności 115/2
00-140 Warszawa
Oddział:
ul. Pionierów 39
41-711 Ruda Śląska
tel. 32 258 95 79
www.troy.net.pl

Copyright © 2012 by Andrew Kaplan
Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All right reserved.
© Copyright for the Polish edition by wydawnictwo Damidos, 2013

ISBN 978-83-7855-059-4

Konwersja do epub A3M Agencja Internetowa

*Dla Anne i Justina, bez których nie byłoby tej książki,
przynajmniej w jej obecnym kształcie.*

rozdział pierwszy



Kair, Egipt

P odnosi głowę znad kawy, pamiętając, że mogą go zabić za jeden nieostrożny ruch. Wyczuwa zmianę w tle dźwiękowym ulicy, ledwie słyszalne buczenie prądu. Latarnie zapalają się.

Zwykle jest to jego ulubiona pora dnia, godzina zmierzchu po *maghrib*, wieczornej modlitwie, gdy tłum wylewa się z meczetów, a bulwarem nad Nilem sunie rzeka światła i cały Kair łapie oddech po skwarным dniu. Jest w towarzystwie. Naprzeciw niego, przy stoliku przed kawiarnią siedzi Dubler, wąsaty przedstawiciel tajnych służb egipskich. Dubler przygląda mu się czujnie, trzymając rękę na rozpiętej kaburze pistoletu, choć już dwukrotnie sprawdzili go na okoliczność posiadania broni. Trzech srogich agentów tajnych służb przygląda mu się groźnie przy innych stolikach. Siedzą przy samym ogrodzeniu, więc wie, że za chwilę nie będzie ich wśród żywych.

Pije kawę z kardamonem, a Dubler obserwuje każdy jego ruch. Na to właśnie czekał przez te wszystkie miesiące. Wszystko wydaje się przerysowane, jakby zbyt realne: odblaskowa czerwień i błękit chust w kramach bazaru Chan al-Chalili, zapach tytoniu jabłkowego z bulgocących *szisz* starych bywalców kawiarni, oddech Dublera. Z oddali, powłócząc szpotawą stopą, nadciąga sprzedawca uliczny z płaskim wiklinowym koszem. Sprzedawca kuca na bruku obok kawiarni, podwijając koślawą stopę pod siebie. Rozkłada swoją *farszę**: baterijki, pasty do zębów, klapki pod prysznic, sto i jeden drobiazgow, które można w Kairze kupić na każdym rogu. Szacuje wzrokiem odległość sprzedawcy od stolików na skraju kawiarni. „Blisko – myśli. – Piekielnie blisko”.

Dubler sztywnieje przy stoliku, gdy pod kawiarnię podjeżdża czarny mercedes sedan. Zauważa, że wąs Dublera jest staranniej

* (arab.) Dywanik

przystrzyżony po lewej stronie. „Mańkut, *haz uihid*, to przynosi nieszczęście” – myśli, kiedy mercedes się zatrzymuje. Z samochodu wysiada adiutant, otwierając drzwi przed przysadzistym mężczyzną w czarnej marynarce.

Ktoś w kawiarni głośno wstrzymuje oddech, gdy rozpoznaje generała Budawiego, głowę Mabahit Amn el-Dawla el-Ulija, Głównego Wywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, uchodzącego za najgroźniejszego człowieka w Egipcie. Ten, kto wstrzymał oddech, musiał słyszeć pogłoski przekazywane szeptem podczas bankietów i w meczetach, do których uczęszczali urzędnicy rządowi, o mężczyznach i kobietach wyjących miesiącami w podziemnych celach. Mówiono, że imam Bractwa Muzułmańskiego zaledwie po miesiącu spędzonym w celach Mabahitu oszalał i wydlubał sobie oczy. Przygląda się jak Budawi idzie pomiędzy stolikami i siada na krzesło zwolnionym przez Dublera, który staje z boku. Z chwilą, gdy generał opada na krzesło, jak spod ziemi wyrasta kelner w pasistej koszuli.

– *Szjai** – ordynuje generał, nie spojrzawszy w ogóle na kelnera. Przygląda się swojemu rozmówcy. Smukły, ogolony, w drogiej koszuli i piaskowych spodniach, ze złotym rolexem na nadgarstku. „Musi mieć branie u kobiet – myśli Budawi – to ten typ, który widuje się nad basenami w Four Seasons na Zachodnim Brzegu Nilu, jak otoczony rojem międzynarodowych modelek w bikini, prowadzi przez komórkę interesy”.

– Znam tę kawiarnię – mówi Budawi. – Podobno lubił przesiadywać w niej Mahfuz, ten pisarz.

– To samo mówią o każdej kawiarni w Kairze. Gdyby Mahfuz pił kawę w każdym miejscu, które się nim chełpi, pękłby mu pęcherz. – Ma Pan coś dla mnie – powtarza Budawi. Nie brzmi to jak pytanie.

– Pokazówkę – mówi on, starając się, by jego głos brzmiał bezbarwnie, bo wie, że ktoś gdzieś go nagrywa, a w ten sposób trudniej będzie wyodrębnić charakterystykę jego głosu na tle gwaru kawiarni i hałasu ulicy. – Właściwie – szereg pokazówek. Coś, co zapadnie w pamięć – dodaje, co jest sygnałem, by uruchomić sekwencję, którą ćwiczył od tygodni. Palcami prawej stopy zdejmuje lewy półbut

* (arab.) Herbatę.

i skarpetkę, potem palcami lewej stopy robi to samo z prawą, następnie odkleja cielisty plaster pod spodem prawej stopy, pod którym ukrywa skalpel.

– Gdzie? – pyta Budawi.

– *Lo samat*. Nie omówiliśmy jeszcze warunków. – Chwyta skalpel palcami stopy, którą podnosi w stronę prawej ręki, luźno opuszczonej pod stólik.

– Kiedy?

– Za trzy tygodnie. Możliwe, że niecałe. – Ma teraz skalpel w ręku, a serce bije mu jak oszalałe.

– To za mało. Muszę mieć coś więcej.

– To tak, jak ja – mówi, a jego ciało napina się w oczekiwaniu na falę uderzeniową, szykując się, by paść na ziemię. „*Diluati!** – myśli. – Na co jeszcze czekacie?”

– Na przykład?

– Dwóch Braci.

– Czyżby? – Generał wkłada do ust amerykańskiego papierosa, a Dubler nachyla się, by mu podać ogień. – Ci dwaj członkowie Bractwa Muzułmańskiego są mordercami. Dlaczego miałbym ich uwolnić?

– Amerykanie i ich sprzymierzeńcy będą panu zobowiązani – odpowiada, zaciskając dłoń na skalpelu.

„*Inszallah! Inszallah!* No, już!”

Z niejasną ulgą zauważa, że kulawy sprzedawca odwraca się w ich stronę. „*Allahu akbar*”** – mówią ruchy jego warg. Generał też to widzi i zaczyna wstawać, Dubler sięga do kabury, ale jest już za późno. Ogluszający huk eksplozji wstrząsa wąską ulicą.

Fala żaru, która przerasta jego najśmielsze wyobrażenia, uderza w nich z niewiarygodną siłą, rozrzucając na wszystkie strony. Krzesła, odłamki, kawałki metalu i strzępy ludzkiego ciała przelatują mu nad głową, kiedy pada na ziemię, wbijając ostrze skalpela w pachwinę generała. Tnie skośnie, przecinając tętnicę udową. Krzyk generała natychmiast zamiera. Krew chlusta i spodnie Budawiego błyskawicznie nasiąkają jasną czerwienią.

* (arab.) No, już!

** (arab.) Allah jest wielki

Zszokowany generał próbuje wstać, ale siły uchodzą z niego w zaskakującym tempie i upada z powrotem na chodnik, anemicznie podrygując nogami. Zapada cisza, przerywana tylko łoskotem opadających w chmurze pyłu odłamków, po czym podnosi się krzyk, ale on prawie go nie słyszy, bo po wybuchu w uszach wciąż dzwoni mu Operacja Specjalnego Dostępu.

Odwraca się w stronę Dublera, który – oślepiiony wybuchem – szamoce się z kaburą. Kopie go mocno w zgięcie kolan, a gdy pod tamtym uginają się nogi, jednym ruchem skalpela podcina mu gardło. Dubler próbuje coś powiedzieć, ale z jego ust wydobywa się tylko bańka krwi. Gdy upada, w jego oczach widać oszołomienie tempem rozwoju wydarzeń.

Kiedy pochyla się, by zza wywróconego stolika wyciągnąć skarpety i buty, słyszy wrzaski i tupot uciekających ludzi. Gdy się prostuje, widzi sędziwego palacza *sziszy*, z twarzą pokrytą sadzą i krwią, który wytrzeszcza oczy w osłupieniu. Uspokajająco kiwa starszemu panu głową. *Maaszi*, udało się, wszystko w porządku. Wyciera zakrwawioną dłoń w marynarkę generała i schyla się, żeby założyć śliskie od krwi skarpety i buty. Ponownie wycierając dłonie w marynarkę generała i podnosząc broń Dublera z ziemi, zdaje sobie sprawę, że za parę sekund pojawi się policja.

„Nie biegnij” – upomina się, kiedy, nie oglądając się więcej na palacza *sziszy*, przez gruz, wywrócone stoliki i porozrzucane części ciała toruje sobie drogę na ulicę. Słyszy wycie zbliżających się samochodów policyjnych i ryk syren wozów strażackich. Patrzy na chodnik, na sprzedawcę *farszy*, z którego niewiele zostało – kawałki nóg, które są tak zwęglone, że z trudem można rozpoznać, jakie to części ciała. Kątem oka widzi pierwszy wóz policyjny, wyjeżdżający zza rogu. Wbija się w *suk* i skręca w wąski pasaż, który wypatrzył trzy dni wcześniej. W przejściu przekupnie i przechodnie patrzą w kierunku wybuchu i syren policyjnych. Przystaje obok urzędującego pod płócienną markizą sprzedawcy wody. Sprzedawca przygląda mu się szeroko otwartymi oczami, więc domyśla się, że ma twarz i ubranie we krwi.

– Co się stało, *ja hader**? – pyta sprzedawca.

* (arab.) Szanowny panie.

– Atak terrorystyczny. Moje ręce – mówi, pokazując dłonie. Sprzedawca polewa je wodą i podaje mu ręcznik, którym pobieżnie wytiera ze krwi twarz i ręce.

– Jesteś ranny, *hader*? Potrząsa głową i jeszcze raz się obmywa.

– *Alhamdulillah* – mówi sprzedawca. – Chwała Bogu. Czy to Bractwo?

– Nie wiadomo – odpowiada, wręczając sprzedawcy dwadzieścia funtów egipskich i zatrzymując ręcznik.

– *Szukran**, *hader*. Niech Allah będzie z tobą – mówi sprzedawca.

– I z tobą – rzuca, odchodząc. Skręca za róg, w wąski zaułek i wchodzi do małego sklepu z odzieżą męską. Światło ze sklepiku pada na ulicę. Właściciel należy do Bractwa, więc czym prędzej wciąga go na zaplecze, zasuważąc kotarę, żeby nie było widać ich z ulicy. Ściąga koszulę i buty. Właściciel przynosi mu galabiję i turban.

– Jak poszło? – pyta właściciel.

– Spal to – mówi, podając mu zakrwawiony ręcznik.

– Czy to twoja krew?

Potrząsa głową.

– To dobrze – mówi właściciel i wrzuca zakrwawiony ręcznik do metalowego kubła. – Lotniska są zamknięte. Jak wydobędziesz się z miasta?

Rzuca rozmówcy powłóczyście spojrzenie.

– Czy ja mówiłem, że wyjeżdżam z miasta?

– Nie, oczywiście, że nie – zaczyna się płatać właściciel. – *Lo ti-sma*. Pozwoli pan, że mu pomogę. – Robi krok do przodu, żeby wygładzić fałdy galabii.

Łagodnym, nieomal pieśczośliwym gestem chwyta właściciela prawą ręką za potylicę i przygina mu głowę w dół, lewą rękę wsuwa mu pod brodę i oplata wokół szyi. Łapie się za nadgarstek lewej ręki, prawą dłonią stosując tak zwane duszenie gilotynowe, które odcina dopływ krwi do mózgu przez tętnicę szyjną. Ciągnąc prawą ręką za lewy nadgarstek, zaciska chwyt coraz mocniej, nie bacząc na to, że właściciel sklepu miota się i okłada go pięściami, próbując się wyrwać.

* (arab.) Dziękuję

Po chwili właściciel sklepu traci przytomność. Dusi go jednak, dopóki nie ma całkowitej pewności, że tamten wyzionął ducha. Kiedy go puszcza, ciało osuwa się na ziemię. Przechodzi nad zwłokami, żeby przed lustrem włożyć turban. Na czole ma smugi brudu, ale nie zmywa ich, by wyglądać jak typowy tragarz uliczny lub sprzedawca *farszy*. Rolexa chowa do kieszeni. Z kasetki z papierosami, którą każdy sprzedawca w Egipcie trzyma dla swoich klientów pod ładą, wyjmuje zapalniczkę. Polewa benzyną zakrwawiony ręcznik, a następnie podpala go. Z metalowego kubła zaczyna wydobywać się gryzący swąd tłącej się mokrej tkaniny. Wychodzi na próg i rozgląda się. Na ciemnym niebie dogasają ostatnie zorze. W wilgotnym powietrzu latarnie w sklepieniu bram *suku* spowijają mglista otoczka.

Ubrany w galabiję nie rzucał się w oczy, więc po wyjściu ze sklepu wmieszał się w tłum miejscowych i turystów. Przystanął przy kramie z warzywami, wybrał cebulę, rzucił sprzedawcy pięćdziesięciopiastrową monetę i ruszył dalej, zatapiając zęby w cebuli. Zapach powinien działać odstraszająco na pasażerów metra. Zjadał szybko cebulę, łzawiły mu oczy.

Słyszac ruch za plecami, odsunął się na bok. Trzej policjanci z odbezpieczonymi miotaczami biegli w jego kierunku. Z dudniącym sercem patrzył, jak go wymijali. Zgodnie z planem był dla nich prawie przezroczysty – pospolity *arzuija*, pracujący za dniówkę, który woli nie narażać się władzom. Szedł bez pośpiechu, choć wiedział, że powinien szybko dotrzeć do metra, które lada chwila mogą zamknąć.

Kiedy mijał dwie Egipcjanki w zachodnich strojach i chustach na głowie, jedna z pań wstrzymała z niechęcią oddech. „No i dobrze” – uciekł się, przechodząc przez jezdnię i włączając się w tłum zmierzający w stronę stacji metra; widziała w nim wyłącznie śmierdzącego *arzuiję*.

Zbliżał się teraz do niebezpiecznej strefy w wąskim gardle. Zapalono reflektory, oświetlając wejście do metra jak plan filmowy. Trzy wozy policyjne oddziałów prewencyjnych zablokowały ulicę, a dziesiątki rozstawionych w półkole policjantów w hełmach z osłonami skanowały tłumy przeciskające się obok stoliczków sprzedawców *farszy*, którzy darli się na głos: „Zapraszam do mnie! Świeży sok! Warto podejść, to nic nie kosztuje!”. Jeśli go mieli złapać, to tu albo później, kiedy będzie opuszczał Egipt. Nie miał złudzeń, jak potraktuje

go Mukhabarat, jeśli go dorwą. Dlatego właśnie musiał zabić właściciela sklepu, uznawszy, że jest zbyt wścibski, a w dodatku prawdopodobnie będzie sypał, gdy wezmą go do celi tortur.

Zbliżając się do schodów metra, poczuł na sobie wzrok młodego policjanta, ale mężczyzna zaraz zainteresował się ładną młodą dziewczyną w różowej chuście na głowie, którą bezkarnie obmacywał przyciśnięty do niej na sunących w dół schodach urzędnik. Młody policjant trącił z rozbawieniem kolegę, żeby zwrócić jego uwagę na dziewczynę, która próbowała zgubić prześladowcę w tłumie.

Była godzina szczytu i peron był zapchany po brzegi. Dziewczyna parła ku środkowi, gdzie zatrzymywały się wagony przeznaczone tylko dla kobiet. Za jego plecami dwóch mężczyzn rozmawiało o ataku na kawiarnię. Przebiegł go dreszcz radości, gdy usłyszał, że przypisują winę Izraelowi.

– Po nich można spodziewać się wszystkiego. Zabijają wszystkich, jak leci – mówił pierwszy. – Kobiety, dzieci – bez różnicy.

– Nie tylko Izraelici są tacy, ale wszyscy Żydzi. Czytałeś *Protokół Mędrców Syjonu*? To mi otworzyło oczy. Wszystko jest czarno na białym – odparł konspiracyjnym szeptem drugi.

Ich głosy utonęły w gwiździe nadjeżdżającego pociągu. Gdy pociąg stanął, tłum zakotłował się, a kiedy drzwi się otworzyły, rzeka wysiadających zderzyła się z wsiadającymi. Wcisnął się z trudem do środka i zaczął studiować mapę. Osiem przystanków dzieliło go od Szobry, robotniczej dzielnicy, gdzie przed tygodniem wynajął mieszkanie. Rozejrzał się, ale nie zauważył nikogo, kto by się mu przyglądał. Raz czy drugi jakiś urzędnik pociągnął nosem, próbując usunąć się ze strefy jego zapachu, który górował nad odorem potu i papierosów, królującym w wagonach kairskiego metra.

Na następnym przystanku policjanci z oddziałów prewencyjnych stali rozstawieni w równych odstępach. Stężał, gdy do wagonu wsiadł policjant, żądając przedstawienia dowodów osobistych, które w Egipcie każdy nosił przy sobie, bo były one warunkiem dokonania zakupu w każdym państwowym supermarkecie. Policjant oglądał po kolei dowód każdego z pasażerów, a potem twarz i dłonie.

Kiedy policjant zbliżył się do niego, sięgnął pod galabiją do kieszeni spodni, ocierając się dłonią o rewolwer Dublera. Wsunął palce do portfela, wyciągając lewy dowód, który skołowało mu Brac-

two. Wciąż wyglądał na zbyt czysty, jak na dowód biednego *arzuji* wracającego po robocie do domu i niepokoił się, że może go to wydać. Natychmiast po otrzymaniu dowodu próbował go pobrudzić i podrapać, ale wciąż wyglądał za porządnie. Kiedy funkcjonariusza dzieliło od niego już tylko kilkoro pasażerów, ścisnął fałszywy dowód w lewej dłoni, prawą zaciskając na broni Dublera. Gdy pociąg zahamował nagle na stacji Road El-Farag, policjant złapał się za słupek, żeby nie upaść, po czym omiótł podejrzliwym spojrzeniem resztę pasażerów. Wtedy drzwi się otworzyły i policjant niespodziewanie wysiadł. Nie spuszczał z gliny oczu, gdy fala nowych pasażerów wlewała się do wagonu. Kiedy drzwi zamknęły się wreszcie, zorientował się, że wstrzymywał oddech.

Dojechawszy na miejsce, wysiadł i wyszedł po schodach na górę. Zapadła noc. Lamy naftowe oświetlały stoliki i kosze sprzedawców *farszy*, skupionych wokół wyjścia z metra. Nagle dopadł go głód. Kupił *szoarmę* baranią z rożna, serwowaną w chlebie *aisz*. Jedząc, znów stężał, gdy obok przejechał wojskowy jeep i wypełniona żołnierzami ciężarówka. To był raczej niespotykany widok w tej okolicy.

– Słyszałeś o bombie? – spytał sprzedawcę *szoarmy*.

– *Allahu akbar*. Rząd na pewno wytropi tych morderców – odparł mężczyzna.

– *Inszallah*. Tak nam dopomóż Bóg.

Mijał teraz bloki mieszkalne ze spłowiałym, spękany tynkiem i suszącym się w oknach praniem. Przeszedł obok zaśmieconego parkingu, gdzie chłopcy w obdartych ubraniach grali w nogę przy świetle jedynej latarni w okolicy. Czy mu się wydawało, czy też ulica wyglądała na bardziej wyludnioną niż zwykle? Zanim dotarł do swojego bloku, rozejrzał się ostrożnie. Nie zauważył żadnych nieoznakowanych samochodów lub ciężarówek, w których by ktoś siedział. Nikt nie wałęsał się wokół pobliskich budynków. Żadnych przyczajonych sylwetek na dachach, ani robót ulicznych po godzinach. Z okien migotały ekrany telewizorów.

Doszedł do swojego bloku i zaczął wspinać się po schodach. Cuchnęło nędzą, fasolą *ful* i papierosami. Otworzył drzwi do siebie i zgiął się wpół jak snajper, gotów wypalić z pistoletu Dublera, ale mieszkanie było puste, a jedynym źródłem światła były uliczne latarnie. Przeszedł przez pokój i włączył mały telewizorek. Spiker, barczysty

mężczyzna o spokojnym, poważnym głosie, oznajmił, że lista podejrzanych o dokonanie zamachu została już zamknięta. Na ekranie pokazała się fotografia generała Budawiego. Jak donosił zdyszany reporter sprzed pałacu prezydenckiego w Heliopolis, poza generałem Budawim, powszechnie cenionym za swój patriotyzm i heroizm, i jego adiutantem, nikt nie zginął. Pasażerowie linii lotniczych chwilowo musieli liczyć się z opóźnieniami spowodowanymi zaostreniem środków bezpieczeństwa wskutek ataku.

Program wrócił do popularnej egipskiej opery mydlanej. Do głównej bohaterki niedwuznacznie dobierał się jej lekarz, gdy mąż bawił w interesach poza miastem, w towarzystwie seksownej asystentki. Na następnym kanale spikerka w chuście na głowie oświadczyła, że władze poszukują cudzoziemca podejrzanego o zamach bombowy w Chan al-Chalili. Przedstawiła go jako wysokiego blondyna. Wyłączył odbiornik. Jak zwykle podawali zaniżoną liczbę ofiar i wymieniały tych samych podejrzanych, co zawsze.

Rzecznik Budawiego pewnie dwoił się i troił pod potężną presją ze strony polityków, by pozbierać elementy tej łamigłówki. Jego opis odpowiadał szablonowym wyobrażeniom o cudzoziemcu. Co więcej, nie przekazano mediom żadnej fotografii. Budawi prawdopodobnie planował aresztować go w kawiarni, a dopiero potem zawracać sobie głowę fotografiami. Wygląda na to, że nie mają nic poza próbką jego głosu. Było jasne, że przeczesują lotniska w poszukiwaniu odpowiadającego rysopisowi cudzoziemca, udającego się w kierunku północnym. Tak obstawiał i na to był przygotowany. Co nie znaczyło oczywiście, że będzie łatwo. Będą mieć przecież na oku wszystkie przejścia graniczne.

Odetchnął głębiej i wytarł czoło rękawem galabii. Dalej się pocił. Za ścianą nastoletni syn sąsiada puszczał egipski hip-hop. Muzyka niosła się po domu i pustej ulicy, gdy tymczasem on próbował sfatygować jeszcze bardziej dowód osobisty oraz czyścił rewolwer i skalpel. Wziął długi pryznic, stojąc w strugach chłodnej, zabarwionej rdzą wody, a przed zaśnieciem przykleił skalpel do podeszwy stopy.

Wyszedł z mieszkania tuż przed świtem, gdy na niebie nad Nilem pojawiły się pierwsze złote pasemka. Wsiadł do autobusu linii East Delta z dworca autobusowego Eltorgan do Hurghady, portu nad Morzem Czerwonym, oddalonego na południe o ponad czterysta kilo-

metrów. Na chwilę przed tym, nim wszedł do autobusu, kupił żywą kurę na bazarze pod gołym niebem. W autobusie panowała wściekła duchota. Zajrzał pasażerowi przez ramię do jego „Al-Ahram”. Nagłówki wspominały jedynie, że oficjalne śledztwo w sprawie podłożenia bomby posuwa się do przodu.

Na posterunku wojskowym, dziesięć kilometrów przed Hurghadą do autobusu wszedło dwóch żołnierzy, którzy sprawdzili wszystkim dowody. Szukali cudzoziemca; z bijącym sercem wmawiał sobie, że wygląda na egipskiego przedstawiciela klasy robotniczej. Sfatygowany dowód i kura poskutkowały: nie wzbudził ich większego zainteresowania. Kiedy spytali go, dokąd jedzie, powiedział, że do kuzyna w Hurghadzie i że ma nadzieję podłapać jakąś robotę w hotelu. Żołnierz wzruszył ramionami i zajął się następnym pasażerem.

W kantine portowej w Hurghadzie prehandlował kurę za lunch i załapał się na prom do Szarm el-Szejk, kurortu na południowym cyplu półwyspu Synaj. Dopłynąwszy na miejsce, udał się do publicznej toalety, gdzie zamienił galabiję i turban na koszulkę z napisem: „Rock for Africa”, szorty i ciemne okulary, które wyglądały stosownie w zestawieniu z bikini plażowiczek przesiadujących w kawiarniach w rodzaju Starbucks czy Four Seasons. Na plaży w Zatoce Naama przyłączył się do duńskiej pary podróżującej z plecakami. Poszli się napić do Camela, baru położonego na dachu, gdzie dołączyła do nich wystrzałowa szwedzka blondyna. Przedstawiła się jako modelka prezentująca bieliznę na pokazach dla nurków głębinowych i „przystojnych Arabów”. Muskając go palcami po ręce, zaproponowała, by obejrzał zachód słońca z jej pokoju, skąd widok miał być wyjątkowo urokliwy.

Zostawił ją rano, kiedy jeszcze smacznie spała, a sam przeprowadził się promem do Akaby w Jordanii. Patrol graniczny przeprowadził kontrolę promu przed wypłynięciem z Szarm el-Szejk, ale wystarczyło jedno spojrzenie na jego plecak, opaloną twarz i niemiecki paszport, by go puścili bez przeszkód. Po południu sączył już „Krwawą Mary” w pierwszej klasie na pokładzie samolotu Lufthansy, na trasie Amman – Frankfurt, zostawiając za sobą pościg o bezprecedensowym zasięgu w dziejach świata, który omal nie wykończył CIA, zmuszając do podejmowania dramatycznych decyzji życiowych wszystkich zaangażowanych – w tym amerykańskiego agenta o kryptonimie Skorpion.